LOKALNIE · OPINIA

WOJNA POLSKO-UKRAIŃSKA POD CZERWONO-CZARNĄ FLAGĄ

Maciej Pieczyński · 7 listopada 2024

Asertywna polityka Warszawy w sprawie blokady ekshumacji wywołała falę komentarzy w ukraińskich mediach.



Prędzej dojdzie do zawieszenia broni między Moskwą a Kijowem, niż do porozumienia między Kijowem a Warszawą w sprawach historycznych. Asertywność polskiego rządu w sprawie ekshumacji nie przyniosła na razie skutków. W ukraińskich mediach wzrosło zainteresowanie tematem Wołynia, ale wciąż dominuje tam pogląd o „symetrii win" i o „obopólnej tragedii".

Od pewnego czasu rząd Donalda Tuska w relacjach z Kijowem stawia warunek: albo zostaną odblokowane ekshumacje polskich ofiar UPA, albo Polska zablokuje bądź przynajmniej utrudni wejście Ukrainy do Unii Europejskiej. Tylko z pozoru taki „zwrot asertywny" może dziwić. Osobiście już u progu zmiany władzy w Polsce zapowiadałem, że nowa ekipa, ciesząc się poparciem Brukseli i Berlina, paradoksalnie może pozwolić sobie na odważniejszą obronę interesu Warszawy na Wschodzie. I pozwala sobie, widząc, że nawet elektorat lewicowo-liberalny ma dość bezinteresownego pomagania państwu, które wręcz obnosi się ze swoim brakiem wdzięczności.

Ukraińcy początkowo byli zdziwieni takim obrotem sprawy. Wielu poważnych komentatorów i polityków

nad Dnieprem oczekiwało, że Tusk przyjedzie na białym koniu i zadba o interes południowo-wschodniego sąsiada, zrywając tym samym z „antyukraińską polityką" poprzedników. Przez tamtejsze media najpierw przetoczyła się fala nie tyle oburzenia (bo miłość do Tuska jako do Europejczyka, ulubieńca salonów unijnych, o obecności na których Ukraińcy marzą), ile rozczarowania. Po niej zaś nastąpiła kolejna fala – szereg tekstów, programów, audycji i wywiadów, których celem było wyjaśnienie, o co chodzi w całej awanturze o przeszłość.

Obustronna „tragedia"

Politolog Ołeh Lisnyj w rozmowie z Radiem Hromadśke zapewnił, że nikt na Ukrainie nie zaprzecza, iż Wołyń był „tragedią". Nieświadomie tym samym dotknął sedna sprawy. Ukraińcy z reguły nie uważają Wołynia za jednostronną czystkę etniczną, zbrodnię, nie mówiąc już o ludobójstwie, tylko za obustronną tragedię, konflikt zbrojny dwóch narodów i dwóch partyzantek (UPA i AK), w którym to konflikcie mordowali jedni i drudzy. Panowała „symetria win". Tyle że ze wskazaniem na polską winę. A to dlatego, że nie byłoby tej „tragedii", gdyby nie „antyukraińska polityka II RP". Sam Lisnyj zaś nie twierdzi nawet, że ta „tragedia" była zawiniona przez Ukraińców czy Polaków. Mówi natomiast, że doprowadziła do niej polityka III Rzeszy i Związku Sowieckiego. Przede wszystkim zaś apeluje, aby tematu tej trudnej historii w ogóle obecnie nie podejmować, ponieważ jest to dziś temat „niebezpieczny". „Licytowanie się na liczbę zabitych jest niewłaściwe" – twierdzi politolog. I ostrzega, że na sporach polsko-ukraińskich zależy, jak dawniej, Moskwie, która najchętniej doprowadziłaby do powtórki z Wołynia...

„Powinniśmy uznać swoją odpowiedzialność za Wołyń. Kropka. Dlatego że to była zbrodnia, która nie miała żadnego usprawiedliwienia, zbrodnia, której ofiarami padały kobiety i dzieci" – przyznał znany ukraiński historyk prof. Jarosław Hrycak podczas debaty zorganizowanej z okazji 70-lecia ukraińskiej redakcji Rada Swoboda. Zastrzegł jednak, że przyznaniu się do winy nie powinno towarzyszyć „poniżenie Ukrainy". Warunkiem jest wzajemność. „Jeśli Ukraińcy mają wziąć odpowiedzialność za Wołyń, to Polacy muszą wziąć odpowiedzialność za politykę, która do Wołynia doprowadziła" – powiedział prof. Hrycak. Przeprosiny tak, ale wzajemne. Zgodnie z formułą „wybaczamy i i prosimy o wybaczenie".

Piłsudski jak Bandera

Najważniejszy jest głos historyków czy urzędników, zajmujących się kwestią wołyńską i mających wpływ na politykę Kijowa. W ostatnim czasie w mediach w tej sprawie zaktywizowali się były i obecny szefowie Ukraińskiego Instytutu Pamięci Narodowej (UINP): Wołodymyr Wiatrowycz (obecnie deputowany do Rady Najwyższej z ramienia partii Solidarność Europejska) oraz Anton Drobowycz. „Jak nie pokłócić się z Polakami i zachować tożsamość?" – tak brzmi tytuł wywiadu, jakiego były szef UIPN udzielił telewizji Espreso.

> „Dlaczego we Lwowie stoi pomnik Bandery?" – pyta dziennikarka Marharyta Sytnyk. „A dlaczego w Warszawie stoi pomnik Piłsudskiego?" – odpowiada Wiatrowycz.

To jeden z tysiąca dowodów na rzecz tezy, że Ukraina w dyskusji o przeszłości wyznaje święty dogmat symetrii win. W wersji bardziej oddolnej, „ludowej", widać to również w kłótniach polskich i ukraińskich internautów o historię w mediach społecznościowych. Gdy pierwsi wypominają „ludobójstwo dokonane

przez Szuchewycza na Polakach", drudzy podnoszą temat „ludobójstwa dokonanego przez Piłsudskiego na Ukraińcach". Stuprocentowa symetria win. Wiatrowycz nie mówi ani nie pisze o ludobójstwie. Jego zdaniem Polacy i Ukraińcy toczyli w latach 1942-1947 wojnę, w której zabijali się nawzajem cywile i partyzanci (AK i UPA). Wołyń był tylko jednym z epizodów tego konfliktu. Konfliktu, który zaczął się od antyukraińskich wystąpień na Chełmszczyźnie (Polacy zaatakowali Ukraińców, którzy zajęli domy odebrane Polakom przez Niemców), zakończył zaś akcją „Wisła". Zarówno na początku, jak i na końcu to strona polska była tą agresywną. Wygodna perspektywa. A przecież ten sam Wiatrowycz przyznaje, że we wrześniu 1939 r., korzystając z upadku II RP, Ukraińcy masowo zabijali Polaków. Zabito więcej ofiar niż trzy lata później na Chełmszczyźnie. To jednak nie pasowało do narracji o symetrii win ze wskazaniem na winę Warszawy.

W wywiadzie dla Espreso Wiatrowycz przekonuje, że nie można zaczynać dyskusji o historii z założeniem, że przedstawiciele jednej strony to wyłącznie ofiary, drugiej zaś – wyłącznie kaci. Inaczej rzecz ujmując – nie sposób mówić o wyłącznej winie Ukraińców. Nieuprawnione jest również, jego zdaniem, nazywanie Wołynia ludobójstwem. Z powodu czysto technicznego – bo przeprowadzić akcję ludobójczą może wyłącznie zorganizowana machina państwowa, a taką UPA nie dysponowała. Argument dość karkołomny...

Na tle tego medialnego szumu pozytywnie wyróżnia się odcinek podcastu „Historia realna" Akima Halimowa, nakręcony we współpracy z polskim Centrum Mieroszewskiego. Na zadanie w tytule dokumentu pytanie „Co naprawdę wydarzyło się między Polakami a Ukraińcami?" odpowiadali przedstawiciele strony ukraińskiej: Wołodymyr Wiatrowycz i były szef MSZ Pawło Klimkin, ale też reprezentanci strony polskiej: prof. Grzegorz Motyka i wiceszef Centrum Mieroszewskiego dr Łukasz Adamski. Ich wypowiedzi były kontrowane przez ukraińskich adwersarzy, niemniej pluralizm został zachowany. Halimow stosunkowo obiektywnie prowadził rozmowy, choć, co oczywiste, stał bardziej po stronie swoich rodaków.

Warto przytoczyć parę fragmentów. Klimkin stwierdził, że jest gotów powiedzieć, iż Wołyń był bardzo trudną stroną wspólnej historii. Zaznaczył jednak, że nie jest gotowy „zaczynać rozmowę od tego, kto jest bardziej winny", zgodnie zresztą z dogmatem o „symetrii win". „Ukraińscy uczeni nie zaprzeczają udziałowi żołnierzy UPA w tych czystkach, ale zazwyczaj kategorycznie sprzeciwiają się twierdzeniu, że była to jakaś zaplanowana akcja likwidacja istotnej część ludności polskiej na Wołyniu" – mówił Halimow. W dość wyważony sposób przedstawiona została przedwojenna historia. Aż do samego Wołynia głosy Polaków i Ukraińców niewiele się od siebie różniły. W kwestii przyczyn i przebiegu była już przepaść.

Pierwsza akcja UPA połączona była z mordem ludności polskiej w Parośli – przekonuje Motyka. Wiatrowycz twierdzi, że nie ma na to dowodów. Kwestionuje też istnienie odgórnego rozkazu o antypolskiej akcji na Wołyniu, twierdząc, że mordy na Polakach były inicjatywami lokalnych dowódców. Co jednak niezwykle istotne, zarazem w filmie Halimowa po raz pierwszy na Ukrainie został pokazany rozkaz Szuchewycza o usunięciu Polaków z Galicji. Rozkaz jednak zawierał wyraźną „humanitarną" wskazówkę – Polaków wypędzić, zabić zaś dopiero wtedy, gdy będą stawiać opór. Ważna jest też scena, w której prof. Motyka pokazuje skandaliczny pomnik we wsi Bazaltowe, poświęcony upowcom, którzy „zlikwidowali jedną z największych baz wojskowych polsko-niemieckich okupantów". A tak naprawdę – co przyznaje sam Halimow – pomnik ten „legitymizuje zabicie przez żołnierzy UPA 600 cywilnych mieszkańców". Dziennikarz, starając się wspiąć na wyżyny moralności i obiektywizmu, przyznawał w filmie, że

Polacy byli mordowani w sposób okrutny, a poza tym podkreślał, że jakie by nie były przyczyny „tragedii wołyńskiej", nie ma ona żadnego usprawiedliwienia. Zaznaczał jednak zarazem, że „tragedia" owa była obopólna...

Najważniejsze jednak, co do powiedzenia na temat sporów o historię z Polską ma obecny szef UIPN. W połowie października wystąpił w podcaście „Ukraińskiej Prawdy". Przedstawił widzom „historię problemu", w wielkim skrócie przybliżając przeszłość relacji z Polską. Rzecz jasna, z punktu widzenia Kijowa. „Jesteśmy nie tylko sąsiadami, ale również dwoma potężnymi narodami historycznymi" – mówił. Wyliczył tysiąc lat trudnego sąsiedztwa, datując od zdobycia grodów czerwieńskich (okolice dzisiejszego Przemyśla i Lwowa) przez księcia kijowskiego Włodzimierza (choć ówczesna Ruś to korzeń zarówno Ukrainy, jak i Rosji, oba państwa próbują tę przeszłość zmonopolizować).

Największe emocje jednak wywołują relacje w XX w. A te wyglądały według Drobowycza następująco. Na mocy paktu Piłsudski-Petlura Polacy i Ukraińcy pokonują bolszewików, którzy nie podbijają Polski, ale podbijają Ukrainę. Petlurowcy zostają nad Wisłą internowani. „Ukraińskiej republiki nie ma, a polska republika jest" – komentuje Drobowycz. A potem Polacy podpisują z bolszewikami traktat ryski, na mocy którego otrzymują część terenów ukraińskich. To wszystko prawda, tyle że przedstawiona z takiej perspektywy, jakby Petlura i Piłsudski byli równorzędnymi partnerami, a ten drugi spiskował przeciwko pierwszemu z Rosją Sowiecką. Potem relacje stają się jeszcze gorsze. Polska prowadzi „bezwzględną asymilację ludności ukraińskiej". Berezę Kartuską Drobowycz nazywa „obozem koncentracyjnym, w którym zamykano Ukraińców, Żydów, czyli wszystkich, którzy nie byli zachwyceni Polakami". To już teza nie tylko ahistoryczna, ale łudząco przypominająca kremlowską propagandę. Prowadzący Jewhen Buderacki nie tylko potakuje, ale wręcz twierdzi, że jego krewni przeszli przez takie obozy...

Taka polityka Warszawy, mówi dalej Drobowycz, wywołuje oczywisty sprzeciw. Część wspólnoty ukraińskiej przechodzi do podziemia, organizuje zamachy przeciwko polskiej władzy, nie chce zrzekać się tożsamości ukraińskiej. Rośnie napięcie, którego szczyt przychodzi na końcówkę lat 30., kiedy w niektórych regionach „zakazuje się (działalności) Cerkwi prawosławnej" (nieścisłość – cerkwie były zamykane i burzone, ale wyznanie nie było zabronione).

Potem wybucha II wojna światowa. Ziemie ukraińskie są okupowane przez nazistów, którzy robią wszystko, aby skłócić ze sobą polskie i ukraińskie podziemie (AK, BCh i OUN, UPA). Skutecznie, bo „grunt był przygotowany". „Niemcy wydają rozkaz jakiejś granatowej policji, polskim oddziałom kolaboracyjnym", żeby zaatakować ukraińską wieś. Ukraińcy są oburzeni, wzywają na pomoc swoich partyzantów, którzy z kolei napadają na polską wieś, z której rekrutowali się granatowi policjanci. „Albo na odwrót" – dodaje. „I tak wybucha konflikt etniczny pod nazwą tragedia wołyńska". Ukraińcy wyrzynają Polaków, Polacy wyrzynają Ukraińców. Co istotne, Drobowycz przyznaje, że więcej ofiar padło po stronie polskiej (podaje cyfrę 70 tys., zabitych Ukraińców – 30 tys.).

W czasach komunistycznych problem Wołynia jest zamrożony. Po uzyskaniu niepodległości przez Ukrainę relacje Kijów-Warszawa układają się wzorcowo. Elity obu krajów „rozumieją, że trzeba się jednoczyć", odbywa się pojednanie pod hasłami „wybaczamy i prosimy o wybaczenie". Wszystko psuje się, gdy do władzy nad Wisłą w 2015 r. dochodzi PiS. Drobowycz zaznacza, i tu akurat trudno się nie zgodzić, że Ukraińcy mają słabą wiedzę na temat Wołynia. Po pierwsze dlatego, że w porównaniu z milionami ofiar, poniesionych w czasie II wojny światowej, to był epizod. Po drugie dlatego, że był to „lokalny

konflikt". Po trzecie dlatego, że po obu stronach uczestniczyli w nim obywatele polscy. Szef UIPN daje do zrozumienia, że Ukraińcy nie mają za co przepraszać, bo na Wołyniu działała partyzantka, a nie machina państwowa, jak w przypadku antyukraińskich represji w II RP. W pewnym sensie więc to Warszawa powinna mieć sobie więcej do zarzucenia niż Kijów.

O co chodzi z blokadą ekshumacji?

W wywiadzie Drobowycz szczegółowo odniósł się też do sprawy ekshumacji. Powołał się na umowę polsko-ukraińską z 1994 r., zgodnie z którą Polska powinna dbać o ukraińskie miejsca pamięci na swoim terenie, zaś Ukraina – o polskie miejsca pamięci na Ukrainie.

Po dojściu PiS do władzy Warszawa rzekomo przestała tę umowę wykonywać. Chodzi przede wszystkim o górę Monasterz, gdzie tablica, poświęcona banderowcom, poległym w walkach z NKWD, po zniszczeniu przez wandali została odnowiona w zmienionej formie – bez nazwisk poległych. Ta jedna konkretna sprawa stała się, jak wiadomo, pretekstem do blokady ekshumacji. Uzależnianie godnego pochówku tysięcy Polaków zabitych przez UPA od jednej tablicy, upamiętniającej śmierć upowców (warto podkreślić: chodzi o tablicę pamiątkową, a nie o masowy grób), to stawianie moralnego znaku równości między katami a ofiarami, ze wskazaniem na katów. Ponadto, jak wskazuje strona polska, nie wiadomo, czy liczba poległych upowców i ich nazwiska, widniejące na tablicy przed zniszczeniem, odpowiadały rzeczywistości.

Tu warto wyjaśnić, o co, z technicznego punktu widzenia, tak naprawdę chodzi. Ukraińcy zarzekają się, że nie blokują ekshumacji, tylko wstrzymują zgody na prace poszukiwawcze. Takie postawienie sprawy brzmi łagodniej. W końcu dopóki ofiar nie znaleziono, trudno jednoznacznie zarzucać Ukraińcom szacunek do ofiar właśnie. Z drugiej jednak strony, blokada poszukiwań oznacza de facto blokadę ekshumacji, które bez odnalezienia szczątków są niemożliwe. Wychodzi więc praktycznie na to samo. Przy czym Kijów oszczędnie, ale od czasu do czasu wydaje pojedyncze zgody.

1 października tego roku UINP zapowiedział przeprowadzenie w 2025 r. „poszukiwań ofiar tragedii wołyńskiej" w obwodzie równieńskim, w odpowiedzi na wniosek złożony przez „obywateli polskich". Wnioskodawcą była przewodnicząca Stowarzyszenia Pojednanie Polsko-Ukraińskie Karolina Romanowska.

Instytut wydał na ten temat obszerne oświadczenie. Z dokumentu wynika, że skoro „od dłuższego czasu nie funkcjonują oficjalne, międzyinstytucyjonalne mechanizmy rozwiązywania drażliwych kwestii", to UINP postanowił wyjść naprzeciw potrzebom zwykłych ludzi i „w drodze wyjątku" podjąć się roli koordynatora w zakresie prac poszukiwawczych na wniosek obywateli polskich z zaproszeniem strony polskiej w charakterze obserwatora. Skuteczność realizacji prac będzie zależała od dostępnych środków. W oświadczeniu UINP przypomniał, że choć od 2019 r. Kijów „co najmniej trzykrotnie" udzielił Polsce zezwoleń na prowadzenie prac i badań w polskich miejscach pamięci na Ukrainie, sprawa Monasterza wciąż nie została załatwiona.

Czy to przełom? Niekoniecznie. Po pierwsze, polski MSZ w odpowiedzi słusznie zauważył, że Polska oczekuje konkretnych decyzji, a nie planów. Po drugie, nieprzypadkowo UIPN odpowiada na wniosek „zwykłej Polki", jednocześnie ignorując państwo polskie. To taktyka „dziel i rządź".

Drobowycz chce przekonać Polaków, że ma dobre intencje, zaś problemem jest polski rząd. Po trzecie, to nie UIPN wydaje bezpośrednio zgody, tylko Ministerstwo Kultury i Łączności Strategicznej. Po czwarte,

wnioski złożone przez państwo polskie (konkretnie przez IPN) leżą nierozpatrzone. Oczywiście, można pomyśleć, że nieważne, kto dostanie zgodę – instytucja publiczna czy NGOS – ważne, by polskie ofiary ludobójstwa wreszcie zostały pochowane. Tyle że to nie jest wcale takie proste. Stowarzyszenie Romanowskiej nie jest pierwszą organizacją pozarządową, która otrzymała zgodę na prace poszukiwawcze. W listopadzie 2022 r. takie pozwolenie dostała również Fundacja Wolność i Demokracja, związana z ówczesnym szefem Kancelarii Premiera Michałem Dworczykiem. Chodziło wówczas o wieś Puźniki na Podolu. Prace doszły do skutku. Rok po wydaniu zgody grupa polskich i ukraińskich specjalistów odnalazła zbiorową mogiłę polskich ofiar UPA. W kolejnym kroku wystąpiono o przeprowadzenie ekshumacji. I wtedy Kijów zaczął przeciągać sprawę. Ukraińcy twierdzili, że dostali niepełną dokumentację. Polacy uzupełniali ją, przy czym kilkukrotnie. W końcu wniosek został przyjęty.

> Jednak ostateczną decyzję o przeprowadzeniu ekshumacji podejmuje specjalna komisja międzyresortowa. Jak dotąd jednak takiej decyzji nie podjęła. Wielce zatem prawdopodobne, że podobny los czeka stowarzyszenie Romanowskiej. Nawet jeśli poszukiwania zostaną przeprowadzone (co wcale nie jest pewne, póki co mowa jedynie o planach), to ekshumacje niekoniecznie.

Oczywiście, można się zastanawiać, czy aby nie byłoby rozsądniej spełnić ten jeden warunek Kijowa i odnowić tablicę na górze Monasterz zgodnie z ich życzeniem? Co prawda, oznaczałoby to symboliczne zrównanie katów z ofiarami, ale przynajmniej te ostatnie miałyby większe szanse na godny pochówek. Może warto byłoby poczynić to ustępstwo? Przecież nawet jeśli Ukraińcy nas oszukają, to przynajmniej nasza racja w tej sprawie będzie oczywista. Być może.

> Wydaje się jednak, że Monasterz to tylko pretekst, żeby blokować ekshumacje.

Wcześniej, za czasów Poroszenki, podobnym pretekstem była likwidacja przez władze lokalne pomnika upowców w Hruszowicach. Wtedy też Kijów zablokował ekshumacje. Zostały odblokowane na początku rządów Zełenskiego, ale potem zdarzył się Monasterz. Dziś Kijów mówi mniej więcej to samo, co wtedy. Wiatrowycz w 2017 r. i Drobowycz w 2024 r. mówią jednym głosem, mniej lub bardziej wprost proponując „rozwiązanie", polegające na tym, że Polska i Ukraina równocześnie zalegalizują nielegalne i odnowią zniszczone miejsca pamięci sąsiedniego narodu na swoim terenie. Teoretycznie warunkiem jest jedna tablica czy jeden pomnik. W praktyce jednak może być tak, że po Monasterze znajdzie się kolejna tablica czy kolejny pomnik, dopóki Warszawa nie zaakceptuje owego „rozwiązania", które w Kijowie określane jest mianem „wszystkie za wszystkie". A to byłby prosty krok w stronę akceptacji przez Polskę fałszywej symetrii win. Przede wszystkim jednak poszukiwania i ekshumacje są dla Ukraińców niewygodne. Te pierwsze mogą jeszcze jakoś przeboleć. Ale na drugim etapie ustalana jest już bezpośrednia przyczyna zgonu, okoliczności śmierci. W wypadku Wołynia – bardzo brutalne. Opisy okrucieństwa banderowców mogą podziałać na wyobraźnię. Wzmocnić i tak rosnącą w Polsce i na Zachodzie niechęć do pomagania Ukrainie. Kijowowi trudniej będzie bronić „dobrego imienia" Szuchewycza, który stał się jedną z

najważniejszych twarzy oporu przeciwko Moskwie. Chyba więc tylko szantaż unijny może zmusić Ukraińców do ustępstw, na których nam zależy...

Nagranie: https://www.youtube.com/watch?v=G4WZh0vLxG0

Oryginał: https://nlad-kopia1113.instawp.site/wojna-polsko-ukrainska-pod-czerwono-czarna-flaga/

DOBRA ANALIZA WYMAGA CZASU

Rzetelny tekst to dni pracy: źródła, dane, redakcja. Każda wpłata pozwala nam przygotować kolejny. Nawet niewielka kwota ma znaczenie.

WSPIERAM ANALIZY

wspieram.nlad.pl



Zeskanuj, aby wesprzeć